

Dziedzictwo Benedykta

Ostatni dzień roku 2022 był jednocześnie ostatnim dniem życia Josepha Ratzingera, który jako papież Benedykt XVI kierował Kościołem po śmierci Jana Pawła II. Po swojej renuncjacji (tak prawo kanoniczne określa zrzeczenie się urzędu przez papieża), Benedykt XVI przeżył jeszcze ponad dziewięć lat w wybranym przez siebie odosobnieniu i jako papież – emeryt modlił się w intencji Kościoła. Zakończyło się długie i niezwykle bogate życie, pełne dramatów i napięć, ale także momentów wielkich i podniosłych. Choć w porównaniu do niemalże dwudziestu siedmiu lat życia swego poprzednika na Stolicy Piotrowej, ośmioletni pontyfikat Benedykta trzeba uznać za krótki, to jednak dla Kościoła katolickiego był to pontyfikat niezwykle istotny.

Także dlatego, że na przelocie II i III tysiąclecia Łodzi Piotrowej przyszło żeglować po niezwykle niespokojnych i wzburzonych wodach. Sptycenie wiary kilku generacji wiernych, a szczególnie ujawnienie skandali z udziałem duchownych, ale także postępująca fala laicyzacji i wzmożona aktywność środowisk antykatolickich, przybierająca postać kampanii medialnych oraz programów politycznych i społeczno-kulturowych, w stosunkowo krótkim czasie zmieniły nastawienie do wiary i Kościoła w wielu społeczeństwach, uchodzących do tej pory za katolickie.

Josephowi Ratzingerowi dane było żyć w czasach pod wieloma względami przelomowych. Lata powojenne były nie tylko czasem odbudowy gospodarczej i postępującej integracji Europy, ale także czasem głębokich zmian społeczno-kulturowych, których dramatyczną ikoną była rewolucja obyczajowa roku 1968. Była to także epoka rosnącej siły mediów, które jako „czwarta władza” zaczęły coraz bardziej wpływać na mentalność i kulturę, a także w coraz większym stopniu na politykę. Centralne znaczenie dla Kościoła miało wydarzenie Soboru Watykańskiego II i dramatyczne lata posoborowe. Ratzinger nie był jedynie biernym obserwatorem tych wydarzeń, ale kimś kto z pasją i właściwym sobie przenikliwym i głębokim słowem starał się je aktywnie kształtować.

Z perspektywy zakończonego życia tego niezwykłego człowieka można zapytać, co pozostanie po Benedykcie XVI? W opinii wielu wierzących, także piszącego te słowa, Joseph Ratzinger/Benedykt XVI był bez wątpienia człowiekiem świętym. Jego życie było bogobojne i po prostu piękne. Tym jednak, co szczególnie fascynowało ludzi, którzy obserwowali jego życie i działalność, była jego zintegrowana osobowość, ta zadziwiająca zdolność łączenia w jedną harmonijną całość szerokiej wiedzy akademickiej z zakresu nie tylko teologii, ale także filozofii, socjologii i religioznawstwa, z życiową mądrością, osobistą prostolinijnością i skromnością, życzliwością dla otoczenia oraz prostą, dziecięcą niemal wiarą. Właśnie ta udana życiowa synteza była tym, co przyciągało do jego osoby i skłaniało do słuchania z uwagą jego wypowiedzi. Ratzinger potrafił w różnych, często dramatycznych okolicznościach, pozostać wiernym sobie w tym znaczeniu, że umiał wytrwale poszukiwać prawdy, a gdy się o niej przekonywał, przyjmował ją z jednoznacznością i pokorą. Żyjąc w czasach postępującego relatywizmu, w czasach w których dotychczasowe pewniki pękały jak bańki mydlane, Joseph Ratzinger potrafił zachować wewnętrzną spójność i katolicką wiarę. Swoim krytykom, którzy zarzucali mu, że po Soborze Watykańskim II z teologa postępowego stal się zagorzałym konserwatystą, odpowiadał, że nie zmienił swoich poglądów, pozostając wiernym dokumentom soborowym, do których sformułowania i uchwalenia zresztą sam się walcie przyczynił. Tym, co się zmieniło, dodawał, było nastawienie wielkiej części społeczeństw zachodnich i wielu zachodnich teologów, którzy w imię jakiegoś wyimaginowanego „ducha soboru”, całkowicie odeszli od jego litery.

Niedługo po śmierci Benedykta XVI ujawniono jego testament duchowy. Jest to wzruszający dokument, w którym raz jeszcze dostrzec można najlepsze cechy jego nieprzeciętnego intelektu: jasność sformułowań, przenikliwość analiz oraz serdeczną, prostą wiarę. Zmarły papież z iście pasterską żarliwością zaprasza w nim do jednoznacznego wyboru Chrystusa. Stwierdza, że wielokrotnie doświadczał tego, jak przeciwne wierze tezy, które były prezentowane niemalże z roszczeniem nieomyślności, okazywały się jedynie pseudonaukowymi hipotezami. Syntezą całego nauczania papieża Benedykta XVI i jego ostatnim, pożegnalnym słowem, pozostanie to proste wezwanie z jego duchowego testamentu: „Stójcie mocno w wierze! Nie dajcie się zwieść!”

Rezygnacja i nadzieja

W odróżnieniu od renuncjacji papieża Benedykta XVI, która zaskoczyła cały świat, rezygnacja biskupa będącego ordynariuszem diecezji nikogo nie powinna zaskakiwać. Oprócz sytuacji, w której koniec posługi biskupiej powoduje wcześniejsza śmierć lub – w rzadkich przypadkach – odsunięcie z urzędu przez papieża, zdarza się ona przecież niemalże w każdym przypadku. Osiągnąwszy 75. rok swojego życia, każdy urzędujący ordynariusz zobowiązany jest przepisami prawa kanonicznego do złożenia na ręce papieża rezygnacji ze swojego urzędu. Niektórzy biskupi czynią to także wcześniej ze względu na stan zdrowia lub też inne niesprzyjające kontynuacji ich posługi okoliczności. W ostatnich latach biskupi, którzy odczuwają problemy zdrowotne, proszą Stolicę Apostolską o nominowanie biskupa – koadiutora. Jest to biskup niejako „z prawem następstwa”, który po rezygnacji ordynariusza przejmuje jego posługę.

Można więc zadać pytanie, skąd to szerokie medialne echo, jakie wywołała rezygnacja biskupa koszalińsko-kołobrzeskiego Edwarda Dajczaka? Zostało ono zapewne spowodowane przede wszystkim powodem rezygnacji, jaki oficjalnie podał do wiadomości bp. Dajczak. Jest nim jego zmaganie się z depresją. Jak przyznał, po drugiej infekcji covidowej w 2021 r. pojawiły się u niego problemy związane ze stanami lękowymi oraz falami depresji. Mimo uzyskania pomocy zarówno farmakologicznej jak i psychologicznej problemy te na tyle wpływają nadal na jego codzienne funkcjonowanie, że bp Edward zdecydował się na wcześniejszą rezygnację; wcześniejszą, bo w 2024 r., osiągnąwszy 75 rok życia, i tak byłby zobowiązany ją złożyć na ręce papieża, niezależnie od swego stanu zdrowia.

Reakcje na tą decyzję, a bardziej jeszcze na jej uzasadnienie, były różne. Odezwały się głosy krytyczne, dowodzące, że biskup nie powinien składać broni, ale do końca trwać na swoim posterunku. Jednak w większości decyzja bp. Dajczaka spotkała się ze zrozumieniem. Na pewno krok ten jest niezwykle ważny dla tych, którzy sami zmagają się z depresją, którzy doskonale wiedzą, o czym mówi bp. Edward, opowiadając o charakterystycznym objawie depresji, jakim jest chęć wycofania i ukrycia się: „Człowiek

chciałby po prostu zasnąć i nie czuć rzeczywistości”. Do powszechnej świadomości nie dotarł jeszcze w pełni fakt, że depresja nie jest jedną z wielu fanaberii, jakie zwykli demonstrować znudzeni egocentrycy lub przesyceni zamożnością i zewnętrznymi bodźcami nuworysze, ale jest podstępłą chorobą, która może dotknąć każdego.

Rezygnacja bp. Dajczaka niemal zbiegła się w czasie ze Światowym Dniem Walki z Depresją, obchodzonym corocznie 23 lutego. Coraz więcej wiadomo o jej podłożu, przyczynach, ale także o możliwościach pomocy osobom, których dotyka. Może ona mieć podłoże zarówno psychiczne (traumatyczne wydarzenia, długotrwały stres, itp.), jak i fizjologiczne (może towarzyszyć jako objaw innym chorobom, np. zaburzeniom hormonalnym, guzom mózgu, itp.). Odmiany depresji są tak różne, jak jej pochodzenie. Oczywiście istotnym czynnikiem jest tu konkretny kształt psychiki danej osoby, który sprawia, że te same sytuacje i wydarzenia, które u innych osób nie wywołują tak poważnych problemów, u tej konkretnej osoby prowadzą do ujawnienia się symptomów depresyjnych.

Bp. Dajczak jest nie tylko przykładem tego, że depresja może dotknąć każdego, również osób wierzących, ale także tego, że jej ujawnienie się nie musi być przysłowiowym końcem świata. Obok pomocy farmakologicznej i psychologicznej, strategia radzenia sobie z jej symptomami może pociągać ze sobą konieczność przemodelowania życia, przed wszystkim zredukowania zewnętrznego nacisku i stresu. Jednak jeżeli człowiek aktywnie podejrze do tego poważnego życiowego problemu, może on zostać wbudowany w całokształt życia i nie musi stanowić wyroku skazującego na izolację i beznadzieję. Tym, co uderza w wywiadach z bp. Dajczakiem jest nie tylko jego otwartość, ale także nadzieja, z jaką patrzy w przyszłość. Chociaż rezygnuje z zadań administracyjnych i zarządzania, nie ma jednak zamiaru zniknąć z przestrzeni publicznej, ale widzi dla siebie miejsce w pracy ewangelizacyjnej i działalności duszpasterskiej. Jako ktoś, kto na własnej skórze doświadczył duchowych ciemności, będzie mógł niewątpliwie skutecznie wspierać tych, którzy w życiu będą przeżywali kryzysy i trudne chwile. Rezygnacja nie jest w tym przypadku przeciwieństwem nadziei, ale krokiem ku nowemu otwarciu.

Marzec 2023

Od pokolenia JP II do odnajopawiania

W mojej pamięci na zawsze pozostanie niezwykle mocne wspomnienie pewnej Eucharystii. Została odprawiona wieczorem 8 kwietnia 2005 r., a więc w dniu pogrzebu Jana Pawła II, na sporym placu w kampusie akademickim w Olsztynie-Kortowie. Kiedy powoli gąsto słońce, na placu zapłonęły tysiące świec. Możliwych ludzkich głów nie było oświecone żadnym innym światłem. Atmosfera była wyjątkowa: głęboka cisza, przerywana tekstami liturgicznymi oraz śpiewem scholi akademickiej. Na Eucharystię przybyli nie tylko studenci i nauczyciele akademicki, ale także władze Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. W tych dniach pojawiało się wiele takich spontanicznych inicjatyw. W jednym z kilkunastopiętrowych bloków – akademików, znajdujących się w centrum Olsztyna, studenci umówili się i wieczorem powygaszali światła w niektórych oknach, tak, że pozostałe oświetlone okna tworzyły napis „JP II” wielkości kilku pięter.

Kiedy dzisiaj wspomina się te chwile sprzed osiemnastu lat, wydaje się, że była to jakby zupełnie inna epoka w porównaniu z początkiem roku 2023. Fala hejtu i niechęci, nieskrywanej wręcz nienawiści wobec osoby Jana Pawła II opanowała polskie media oraz portale internetowe i społecznościowe, zwielokrotniona w wypowiedziach części dziennikarzy, polityków i celebrytów. Podnoszone zarzuty mają być „całą prawdą” o Karolu Wojtyśle, która unieważnia jakiegokolwiek jego dokonania i całkowicie go dyskredytuje. Miał on ukrywać pedofilów w sutannach jeszcze w czasie sprawowania urzędu biskupa krakowskiego, czyli w latach 1964-1978. Cień zostaje rzucony na cały Kościół katolicki, bo przecież Jan Paweł II został zaliczony do grona świętych tego Kościoła. Podnoszą się głosy nawołujące do „odmitologizowania” postaci polskiego papieża, jak to się mówi – do „odjanopawiania” polskiej rzeczywistości, co oznacza po prostu odarcie go z jakiegokolwiek szacunku i czci, a wraz z nim – zdyskredytowanie polskiego Kościoła.

Pomijając na chwilę napastliwy język i święte oburzenie, z jakim przedstawia się dziś szczegóły ówczesnych, rzekomo skandalicznych decyzji Wojtyły, warto spojrzeć krytycznie na sposób relacjonowania faktów z przeszłości. W obecnej antypapieskiej

narracji mamy do czynienia z dwoma karygodnymi błędami, których nie może nie dostrzegać żaden krytyczny obserwator, który ma choć odrobinę świadomości historycznej. Pierwszym jest błąd anachronizmu. Słowo to ma wiele znaczeń, ale w omawianym kontekście oznacza interpretowanie faktów z odległej przeszłości bez uwzględnienia ich historycznego kontekstu oraz ocenianie ich według wiedzy i standardów współczesności. Wskazywanie na ten błąd wcale nie oznacza chęci ukrywania przeszłości. Chodzi jedynie o rzetelność w prezentowaniu wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat. *W świetle dzisiejszej wiedzy* psychologicznej o nieskuteczności terapii pedofilii, ale także o dramatycznych skutkach w psychice osób, które były molestowane w dzieciństwie, środki podjęte przed pięćdziesięciu laty przez Wojtyłę, a więc kary suspensy dla sprawców, wysyłanie ich na pokutę kanoniczną, po której umożliwiano im dalszą pracę duszpasterską w innym miejscu, czy też zakaz pracy w diecezji, bez dalszego badania losu takiej osoby, były niewątpliwie niewystarczające, niewłaściwe, wręcz błędne. Czy były takimi także *w świetle wiedzy i świadomości społecznej lat siedemdziesiątych*? Czy można było oczekiwać od biskupa jakiejś innej reakcji w czasach, gdy zgodnie z ówczesną wiedzą psychologiczną pedofilia mogła być poddawana skutecznej terapii, a sprawcom, którzy się takiej terapii poddali, nierzadko wystawiano zaświadczenia o skutecznym jej zakończeniu i zdolności do pracy? Właśnie lata siedemdziesiąte XX w., w których Wojtyła był metropolitą krakowskim, były czasem, w którym np. francuskie elity intelektualne (m.in. Simone de Beauvoir, Jean Paul Sartre czy Jacques Derrida) protestowały publicznie przeciw pociąganiu pedofilów do odpowiedzialności karnej, w Stanach Zjednoczonych zakładano stowarzyszenia propagujące seks z dziećmi, a w programie wielu europejskich partii lewicowych (np. w Niemczech) oficjalnie widniało żądanie depenalizacji pedofilii.

Nie sposób w tym kontekście nie zapytać także o to, jak zachowywali się inni przełożeni spoza Kościoła wobec sprawców molestowania nieletnich, np. w szkołach czy klubach sportowych? Czy są tam przykłady zdecydowanych zachowań, które odpowiadałyby dzisiejszym standardom? Czy Wojtyła reprezentował karygodne standardy Kościoła – instytucji, która dbała jedynie o swoje dobre imię, czy też analogicznie postępowano także w innych instytucjach? Trzeba też zapytać, komu Wojtyła miałby donieść o fakcie moralnych zachowań kapłanów? Ówczesnej władzy ludowej i działającemu pod jej auspicjami ówczesnej prokuraturze? Zapominanie o tym

historycznym kontekście wykrzywia perspektywę i ostatecznie krzywdzi osoby, które wtedy żyły i podejmowały decyzje, jakich wymagały piastowane przez nich urzędy. Czy rzeczywiście świętość papieża miałyby polegać na jego nieomyślności lub wszechwiedzy, która by przekraczała bariery czasu?

Jest jeszcze drugi błąd, związany z czymś, co uważni obserwatorzy prognozowali bezpośrednio upadku komunizmu w Polsce. Ostrzegano wtedy przed tym, aby przyszłe pokolenia nie przejęły narracji, którą postulgiwała się propaganda partyjna. Byłoby to, jak twierdzono, pogrobowe zwycięstwo ideologii komunistycznej. Chodziło szczególnie o to, aby do dokumentów wytworzonych przez służbę bezpieczeństwa, a szczególnie przez ludzi, którzy zostali przez tę służbę złamani, zwerbowani i stali się agentami (np. agentami w sutannach), podchodzić z dużą dozą krytycyzmu. Niestety, ta obawa staje się na naszych oczach rzeczywistością. Zapisy rozmów osób skorumpowanych, nierzadko skonfliktowanych z kościelnymi przełożonymi, z prowadzącymi ich esbekami oraz ich donosy, są bezkrytycznie traktowane jako wiarygodne źródła historyczne. Ich wizja rzeczywistości jest traktowana jako miarodajna, natomiast wszelkie postulaty kontekstowego spojrzenia są postrzegane jako próba tuszowania haniebnych czynów ludzi Kościoła.

Dla wielu wierzących katolików ta nowa fala nienawiści wobec osoby Jana Pawła II jest kolejnym bolesnym doświadczeniem, nie pierwszym i zapewne nie ostatnim. Trudno być tak naiwnym, żeby nie dostrzec tego, że pragnienie wyjaśnienia przeszłości – samo w sobie jak najbardziej właściwe i nie budzące zastrzeżeń – sprzęgło się w obecnej nagonce z pragnieniem wyszydzenia ludzi Kościoła. Efektem będzie wzmocnienie uprzedzeń wobec Kościoła i głębiej – wobec wiary katolickiej oraz stworzenie stereotypu – niemalże automatycznego skojarzenia kapłańskiej sutanny z grzechem pedofilii. Czy podnoszony słusznie postulat rzetelnego przebadania dostępnych źródeł w kontekście czasów, w których powstały, może przyczynić się do korekty tej skrzywionej perspektywy?

Jaki sens ma Wielkanoc?

Do jednej z audycji radiowych w okresie przedwielkanocnym zostało zaproszonych dwoje gości: pani doktor nauk humanistycznych oraz katolicki ksiądz. Mieli mówić o znaczeniu Wielkanocy, ale także dni ją poprzedzających. Ich wypowiedzi były czymś w rodzaju zwierciadła współczesnej mentalności. Z jednej strony była mowa o wiosnie, budzącej się przyrodzie, symbolach nowego życia – baziach, kurczaczkach i jajeczkach oraz budzącej się do nowego życia witalności ludzi. Z drugiej – padły słowa o cierpieniu i śmierci Chrystusa, z której wyrasta nowe życie i nadzieja zmartwychwstania dla każdego. Przez całe wieki te dwa podejścia do Wielkanocy nie tylko nie kłóciły się ze sobą, ale stanowiły elementy jednej i tej samej tradycji i kultury, przy czym większość ludzi zdawała sobie dobrze sprawę z tego, jak należy rozłożyć akcenty przy przeżywaniu różnych wymiarów tego czasu.

Wiara chrześcijańska nie jest jedynie zespołem wierzeń dotyczącym świata duchowego oraz pochodzenia i ostatecznego losu człowieka, ale jest sposobem życia, obejmującym wszystkie przestrzenie ludzkiej egzystencji. Należy do nich także sposób świętowania. Znakiem, że wiara w Chrystusa została naprawdę przyjęta, jest jej wpływ na codzienne decyzje, a także na kulturę, jaką tworzy człowiek. Wiara, która naprawdę jest żywa, wytwarza kulturę i w niej się wyraża. Już od pierwszych wieków chrześcijanie uwzględniali przy tym również elementy kultur, z których pochodzili, odrzucając to, co było sprzeczne z Ewangelią i asymilując to, co dało się z nią pogodzić, nadając znakom i obrzędom nowe znaczenia. Tym samym niektóre symbole i rytuały, związane z obrzędami budzącej się wiosną do nowego życia przyrody, mogły zostać przyjęte i kultywowane także przez wierzących w Chrystusa.

Proces laicyzacji sprawił, że świeckie symbole witalności i budzącej się po zimie do życia przyrody zostały wyjęte z tego całościowego kontekstu, stając się wręcz elementami czegoś w rodzaju neopogańskiej obrzędowości wielkanocnej. Nie ma w niej już Chrystusa i Jego przejścia przez mękę i śmierć od straszliwej kaźni Wielkiego Piątku aż do Poranka Wielkanocnego. Nie ma w niej całego dramatu zdrady przez najbliższych i

niestusznego oskarżenia, nie ma też wierności Bogu aż do końca, nie ma mocy przebaczenia, nie ma wreszcie radości Wielkanocnego Poranka i spotkania z Żyjącym i Zmartwychwstałym, chociaż wcześniej Ukrzyżowanym i Pogrzebanym. Jest jedynie odwieczny korowód przygasania i odnawiania się natury, są symbole, które – jeśli chciałoby w nich dostrzec jakieś elementy religijne – są symbolami panteistycznymi, wyrażającymi przekonanie o nierozzerwalnym związku człowieka z quasi-boskim Wszechświatem i jego odwiecznymi prawami. Owszem, jest też przekonanie o „wiecznym życiu”, które jednak nie dotyczy jednostek, a jedynie żyjącej Ziemi. To wieczne trwanie życia nie zależy też od ludzkich decyzji, a jedynie od odwiecznego cyklu umierania i rodzenia się na nowo.

Takie podejście nie ma wiele wspólnego z chrześcijańską celebracją Wielkanocy, a jest jedynie jej powierzchowną imitacją. Należy do świata, którego podstawowym wymiarem jest nieustanna konsumpcja, gdzie każda okazja jest dobra, by poprawić sobie humor przez nową okazję do konsumowania dóbr. Trudno się dziwić, że taka płytka radość nie prowadzi do faktycznego odnowienia życia, do duchowego odrodzenia. Znika wraz z świątecznym nastrojem i pierwszym dniem poświętej krzątany, takiej samej, jak przedświąteczna.

Świętowanie Paschy Jezusa jest czymś więcej, niż celebracją wiosny. Dlatego tak ważne jest wejście w głębokie treści Wielkiego Tygodnia, a przede wszystkim w postawę Jezusa wobec czekającej Go okrutnej śmierci. To nie Ojciec niebieski wyznaczył jej okoliczności. Uczynił to świat, który nie mógł znieść Kogoś, kto w każdej chwili swojego życia i we wszystkich jego okolicznościach, pozostał wierny Bogu. I nie przestał kochać ani tych najbliższych, którzy zawiedli Jego zaufanie, ani nawet tych, którzy z wielką determinacją i satysfakcją dokonali Jego brutalnej egzekucji. Z tej postawy Jezusa wyrasta zmartwychwstanie i siła do nowego życia; życia przemienionego nie ludzką mocą czy też corocznym cyklem zjawisk przyrodniczych, ale boską mocą Zmartwychwstałego. Dopiero takie świętowanie Wielkanocy daje szansę na rzeczywistą odnowę życia, która stanowi najgłębszą tęsknotę człowieka.

Koronacja

Postronny obserwator transmisji z ceremonii koronacyjnej nowego brytyjskiego monarchy Karola III nie mógł się zapewne oprzeć wrażeniu bycia przeniesionym do jakiegoś innego, zamierzchniego świata. Złote karoce, bogate stroje uczestników z ubiegłych epok, królewskie regalia wyglądające jak eksponaty z kostiumowego filmu, podniosła muzyka i tradycyjne, religijne celebracje w starożytnej świątyni – wszystko to mogłoby być formą jakiegoś historycznego spektaklu, gdyby nie fakt, że dotyczyło struktury i tożsamości jednego z najbogatszych i najnowocześniejszych krajów świata. To, co musi zdumiewać, to z jednej strony nieukrywane zainteresowanie i zapewne też jakaś forma sympatii ze strony setek milionów ludzi na całym świecie, którzy dzięki transmisji telewizyjnej mogli śledzić tę ceremonię. Warta podkreślenia była także powściągliwość, a nawet przychylność dziennikarzy obsługujących serwisy informacyjne, szczególnie tych, którzy z wielką gorliwością potrafią tropić wszelkie przejawy zbyt ścisłych związków ołtarza z tronem i piętnować je jako zamach na świeckie i neutralne światopoglądowo państwo.

Nie ulega wątpliwości, że można krytykować ceremonię koronacyjną Karola III – i samą instytucję brytyjskiej monarchii – jako anachroniczne formy kulturowe, niezwykle kosztowne, a mało przydatne w praktyce i stąd wysoce problematyczne. I można wskazywać na to, że ceremoniał królewski nie ma żadnego realnego wpływu na politykę. Brytyjski monarcha nie prowadzi aktywności politycznej na własną rękę, a wygłaszając doroczne orędzie w parlamencie, odczytuje jedynie tekst przygotowany przez rządzących polityków. Nie brak krytyków, dla których cały ten królewski patos jest rodzajem ekskluzywnego snobizmu, na który współczesne społeczeństwo brytyjskie nie może sobie dłużej pozwolić.

W kontekście koronacji Karola III niektórzy krytycznie wskazywali na mocne wyakcentowanie religijnego wymiaru brytyjskiego rytuału koronacyjnego. Wiąże się on z wyjątkowym statusem brytyjskiego monarchy, który jest nie tylko królem dla swoich poddanych, ale także – od czasów reformacji – głową Kościoła anglikańskiego, mimo iż

nie jest duchownym. Zadaje się uzasadnione pytania, czy w obecnej sytuacji brytyjskiego społeczeństwa taka forma związania tronu z ołtarzem ma jeszcze jakikolwiek sens? Jak pokazują badania, chrześcijanie są obecnie w Anglii i Walii mniejszością, przy czym gwałtownie wzrósł w ostatnich dziesięcioleciach odsetek osób deklarujących się jako ateści. Ale także ci, którzy deklarują się jako chrześcijanie, nie wykazują zbytniego zainteresowania swoją wiarą: odsetek uczestniczących w nabożeństwach niedzielnych nie przekracza 1%. Niewielki wydaje się także wpływ pochodzących z Biblii przekonań na ustawodawstwo: w takich kwestiach, jak aborcja, eksperymenty na ludzkich embrionach czy też związki między osobami tej samej płci ustawodawstwo brytyjskie należy do najbardziej liberalnych na świecie.

Mimo tych wszystkich uzasadnionych zastrzeżeń i słów krytyki, trzeba jednak stwierdzić, że w ceremonii koronacyjnej Karola III było coś podniosłego i ostatecznie coś bardzo istotnego. W środku zlaicyzowanego świata, który histerycznie reaguje nie tylko na każdą formę bliskich relacji między duchowieństwem a przedstawicielami władzy, ale nawet na wszelkie przejawy obecności treści religijnych w sferze publicznej, pojawiły się w ceremonii koronacji Karola III głęboko chrześcijańskie elementy. Dotyczą one nie tyle brytyjskiego monarchy, ile samej istoty władzy. Zanim nowy król otrzymał regalia – symbole władzy królewskiej, została mu wręczona księga Pisma Świętego, a on przyrzekł strzec jej wiernie i kierować się nią w swoich decyzjach. W przysiędze nowego króla pojawiła się deklaracja zachowania Bożego prawa i sprawiedliwości oraz poszukiwania dobra wspólnego, jak i dbanie o pomyślność poddanych. Pojawił się też biblijny ryt namaszczenia: Karol III, który zdjąwszy wszelkie wykwintne szaty, stanął przed arcybiskupem Canterbury w prostej koszuli, by otrzymać królewskie namaszczenie, które symbolizuje to, że poza wszelkimi ludzkimi czynnikami – władza w swoim najgłębszym sensie pochodzi od Boga jako zlecone przez Niego zadanie.

Chrześcijanie od początku szanowali władców nawet pogańskich, rządzących obszarami, w których przyszło im żyć. Czynili to w przekonaniu, że władza jako taka pochodzi od Boga. Ale też od początku odrzucali postuszeństwo takiej władzy, która negując jakąkolwiek instancję wyższą od siebie, czyniła sama siebie władzą boską i domagała się od swoich poddanych boskiego kultu. To chrześcijańskie odniesienie do władzy nie uległo zmianie i dotyczy również dzisiaj wszelkich jej form, także wynikającej z koncepcji demokracji parlamentarnej. Szacunek i lojalność wobec rządzących, nawet

jeżeli nie uważają się za wierzących w Boga, należy do podstawowych powinności moralnych każdego chrześcijanina. Jeżeli jednak władza nie chce pomnażać dobra wspólnego i odsuwa wszelkie odniesienie do Boga, a tym samym odrzuca najważniejsze normy chroniące podstawowe wartości osobowe, a nade wszystko każdą ludzką osobę, staje się władzą uzurpatorską. Koronacja Karola III, przy całej swojej teatralnej oprawie, stała się mocnym przypomnieniem tego najgłębszego wymiaru każdej ludzkiej władzy.

Czerwiec 2023

Obecność

Procesje Bożego Ciała są co roku pięknym przeżyciem dla setek tysięcy katolików w Polsce. Zgodnie z kalendarzem liturgicznym, uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa przypada mniej więcej na granicy wiosny i lata. Procesje Bożego Ciała są czysto katolickim fenomenem, który pokazuje katolicki charakter wiary w Chrystusa. Wszystko odgrywa tu istotną rolę: wiosenno-letnia aura, świeża zieleń wiosennej przyrody, odświętne stroje, kwiaty, świece, a przede wszystkim odrobina białego Chleba niesiona w monstrancji, ale także pieśni i gesty, feletrony i symbole, które przypominają, że jest to dawna, bo obecna w Kościele od XIII w., celebracja. Kluczowe elementy ludzkiego życia są tu niejako zebrane w jednej celebracji. W świetle wiary katolickiej cała rzeczywistość ma charakter sakramentalny i stąd wiara w Chrystusa ma także taki charakter i obejmuje całego człowieka: jego duchowy, ale i cielesny wymiar.

Centralnym punktem nie są tu jednak zewnętrzne obrzędy, ale sama Tajemnica Eucharystii. To ona każe wierzącym katolikom co roku wyjść na ulice miast, by powiedzieć wszystkim ludziom, że w samym centrum szarej codzienności jest Obecność, która przekracza ludzkie rozumienie, a mimo to jest realna i pełna mocy. Dla wierzącego katolika realna obecność Chrystusa w Eucharystii jest tym, co robi różnicę.

W tym roku w czasie poprzedzającej procesję Eucharystii czytany był fragment Ewangelii Janowej, w którym Jezus mówi o sobie samym: „Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli ktoś spożywa ten chleb, będzie żył na wieki” (J 6, 51). Spożywanie tego Chleba zapobiega najgorszemu z głodów – głodowi duszy, głodowi

sensu. To „Ja jestem” Jezusa jest tu czymś więcej, niż tylko jakąś formą autoprezentacji. Kiedy Jezus mówi: „Ja jestem chlebem”, ale także „Ja jestem bramą” (J 10, 7) czy „Ja jestem drogą, i prawdą, i życiem” (J 14, 6), to w tych słowach usłyszeć można echo tego niezwykłego JA JESTEM, które kiedyś Mojżesz usłyszał stojąc przed Krzakiem Gorejącym. To jest Boży głos, który zapewnia o Jego nieustannej obecności.

Bóg jest zawsze blisko – to jedno z fundamentalnych przekonań chrześcijańskiej wiary. Ta bliskość nie stanowi dla człowieka zagrożenia, ale jest pełna miłości. Pokazuje to w namacalny sposób ta forma bliskości Boga, jaką jest Jego obecność w tajemnicy Eucharystii. Kiedy w uroczystość Bożego Ciała mówimy o Ciele i Krwi Chrystusa, mamy zawsze na myśli zmartwychwstałego Pana, Jego uwielbione człowieczeństwo, nie podlegające już żadnym prawom przyrody, a co za tym idzie także ograniczeniom przestrzeni i czasu. Właśnie ten uwielbiony sposób istnienia sprawia, że Chrystusa może być obecny cały, ze swoim Człowieczeństwem i Bóstwem w każdej drobinie Świętej Hostii i jednocześnie w wielu miejscach świata. I to właśnie ten uwielbiony sposób istnienia sprawia, że spożywając białą, konsekrowaną Hostię, człowiek może zjednoczyć się z Nim najgłębiej, jak to tylko jest możliwe.

Kościół żyje z Eucharystii, co wielokrotnie z naciskiem podkreślali papieże ostatnich dziesięcioleci. Nie jest to jedynie pobożne hasło, ale to wskazanie na kluczowy punkt, z którego zawsze można rozpocząć od nowa, niezależnie od zawirowań i meandrów bieżących wydarzeń. Dotyczy to także ludzi z epoki „płynnej nowoczesności”, a w zasadzie już „post-epoki”, w której nie tylko proklamuje się nadejście „post-chrześcijaństwa”, ale wręcz nową erę „post-człowieka”, które pragnie wziąć ewolucję ludzkiego gatunku w swoje ręce.

Odkrycie na nowo tej Obecności może być ustanowieniem w swoim życiu punktu odniesienia, zapobiegającego dezorientacji, wypaleniu, emigracji wewnętrznej, ale także gniewowi czy wreszcie kapitulacji. Właśnie przemożne przekonanie o tym, że w życiu nie ma i nie może być punktów stałych czy nienaruszalnych prawd i dlatego nie da się też dokonywać wyborów na całe życie, jest jedną z charakterystycznych cech epoki post-człowieka. Zanurzony w tej swojej „płynnej nowoczesności”, nie dostrzega on, że Bóg w swoim Synu Jezusie Chrystusie nigdy nie przestał mu towarzyszyć. Towarzyszy mu w tym tak skromnym i bezpretensjonalnym znaku chleba.

Procesja Bożego Ciała może stać się zaproszeniem dla każdego, kto zdoła sięgnąć poza zastonę folkloru i tradycji. Kościół dzieli się z całym światem wiarą w bliskość Boga, bo zjednoczenie z Nim – Chlebem Żywym jest jedyną drogą do zaspokojenia głodu wiecznego życia, jaki drzemie na dnie każdej ludzkiej tęsknoty.

Lipiec 2023

Wysychający strumień

Początek sezonu wakacyjnego zbiega się co roku z ogłoszeniem wyników matur. Jest to dla wielu młodych ludzi czas podejmowania decyzji dotyczących kierunku studiów, a co za tym idzie – przyszłej drogi życiowej. Jest to też czas, w którym osoby odpowiedzialne w Kościele za kształcenie kapłanów zadają sobie pytanie, czy znajdą się chętni do podjęcia studiów teologicznych w seminarium duchownym z zamiarem przyjęcia święceń kapłańskich. Jeszcze niedawno wydawało się, że Kościołowi w Polsce nie zagrozi brak powołań kapłańskich, jak tego doświadczyło w ostatnich dziesięcioleciach wiele Kościołów lokalnych na zachodzie Europy. Wystarczyło jednak kilkanaście ostatnich lat, by sytuacja radykalnie się zmieniła. Seminaria świecą pustkami i niestety należy się liczyć z tym, że nie jest to zjawisko chwilowe. Komu leży na sercu los Kościoła, ten musi zadać sobie pytanie o przyczyny tego mocno niepokojącego trendu.

W wielu komentarzach na pierwsze miejsce wysuwają się oczywiście skandale z udziałem duchownych, szczególnie te najbardziej odrażające, jakimi są przypadki wykorzystania seksualnego nieletnich. Nie ulega wątpliwości, że szok związany z tymi przestępstwami, a także niewłaściwa reakcja na nie ze strony kościelnych przełożonych, mocno przyczyniły się do zniszczenia autorytetu, jakim jeszcze do niedawna cieszył się Kościół w Polsce. Nie brak jednak i takich, którzy widzą przyczyny braku powołań kapłańskich znacznie głębiej – w koncepcji moralności chrześcijańskiej, szczególnie tej dotyczącej sfery seksualnej, coraz bardziej nieprzystającej do współczesnej mentalności oraz w samej wizji kapłaństwa i systemie kształcenia i wychowania kandydatów na kapłanów w seminariach duchownych. W obecnym kształcie system ten ma sprzyjać wytwarzaniu i umacnianiu mentalności klerykalnej, której cechą jest instrumentalne i

podporządkowane traktowanie świeckich przez kapłanów, niechętnych czy wręcz niezdolnych do dzielenia się odpowiedzialnością. Kluczowym elementem tej przestarzałej wizji kapłaństwa ma też być zobowiązanie do celibatu, które bywa podejmowane lekkomyślnie, jest czasem nieprzestrzegane lub też – nawet wzorowo zachowywane – nie przyczynia się do osobistego spełnienia kapłanów i jest ponadto coraz mniej zrozumiałe dla młodych ludzi, którzy ewentualnie byliby gotowi do wyboru drogi kapłańskiej. Czy jednak rzeczywiście wystarczyłoby znieść celibat, a wraz z tym zmienić także obowiązującą do tej pory katolicką etykę seksualną, zmodyfikować koncepcje studiów seminaryjnych i model funkcjonowania kapłana, aby Kościół znowu miał wystarczająco wielu kapłanów?

Modyfikacje systemu kształcenia przyszłych księży są oczywiście możliwe, a nawet niezbędne. Możliwe i równie niezbędne mogą się też okazać modyfikacje modelu funkcjonowania kapłana w codziennej pracy parafialnej. Pytanie zasadnicze dotyczy jednak nie tego co kapłan robi, a czego nie, ale tego, kim kapłan właściwie jest. Obecny kryzys powołań kapłańskich jest przede wszystkim kryzysem tożsamości kapłańskiej, a ta jest ściśle związana z teologiczną wizją Chrystusowego kapłaństwa. Mimo podobieństwa terminów rozumienie kapłaństwa w Kościele katolickim jest całkowicie odmienne od koncepcji kapłaństwa w innych religiach. Tam kapłan zajmował zazwyczaj miejsce pośrednika między Bogiem a ludźmi. To miejsce zostało jednak raz na zawsze zajęte przez Jezusa Chrystusa, który przez swoją Ofiarę krzyżową stał się jedynym Pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem. Katolicki duchowny jest zatem kapłanem jedynie jako ktoś, kogo Chrystus powołuje do kontynuowania Jego misji pośredniczącej. Sednem katolickiego kapłaństwa jest więc utożsamienie się z Chrystusem i całkowite oddanie się Jemu – i to nie tylko w funkcjach, które kapłan wykonuje i w charakterze powierzonej mu odpowiedzialności, ale w całym sposobie życia. Utożsamienie z Chrystusem poprzez swój styl życia i reprezentowanie całkowitego oddania się Chrystusa zadaniu zleconemu Mu przez Ojca, jest najgłębszym uzasadnieniem tożsamości kapłańskiej, a także kapłańskiego celibatu. Jak powiada kard. Joseph Ratzinger, „Tutaj pośrednictwo polega na bezinteresowności posłannika, który stoi w tyle za przestaniem i za osobą posyłającą, który nie daje siebie, ale przynosi Innego. Pośrednictwo obejmuje tutaj samowyznaczenie człowieka i jego transparentność na Innego”.

Jeżeli ten wymiar reprezentacji i utożsamienia z Chrystusem zostaje zapoznany lub pominięty, wtedy jakkolwiek reforma struktur kształcenia teologicznego i modelu posługi kapłańskiej będzie skazana na porażkę. Struktury i modele, jeżeli mają być owocne dla Kościoła, muszą wyrastać z poprawnej teologii, a ta musi być zakotwiczona w słowie Bożym. W przypadku odwrócenia tej kolejności, jakkolwiek reforma, która by się rozpoczęła od tworzenia struktur rzekomo lepiej pasujących do współczesnej mentalności społecznej, a nie od odnowienia wiary i odpowiadającej jej teologicznej wizji posługi kapłańskiej, będzie złudzeniem, którego skutkiem będzie gorzkie rozczarowanie.

Nie ulega wątpliwości, że skandale z udziałem duchownych w znacznym stopniu zaciemniły i wykrzywiły pozytywny obraz kapłaństwa. Jednak niezdolność do podjęcia głosu powołania płynie także – a kto wie, czy nie w znacznie większym stopniu – z takiego sformatowania młodych umysłów, że stają się one ślepe na logikę płynącą z wiary. Środowiskiem współczesnych młodych ludzi, które najsilniej kształtuje ich psychikę, sposób patrzenia na rzeczywistość i system wartości, jest świat wirtualny, w którym dla logiki płynącej z wiary nie ma wiele miejsca. Wyrwanie się z tych dalekich od Boga schematów, podejmowanie decyzji życiowych niezależnie od nacisku otoczenia naznaczonego nierzadko mocnym antykatolickim resentymentem, wymaga od młodego człowieka niemal heroicznej odwagi i determinacji. Oby Bóg dał na nowo siłę swojemu ludowi....

Sierpień 2023

Światowe Dni Młodzieży – katolicki Woodstock i nic więcej?

O ile można by się spodziewać kąśliwych komentarzy dotyczących Światowych Dni Młodzieży ze strony środowisk nieprzyjaznych Kościołowi, o tyle fala krytyki ze strony niektórych katolickich obserwatorów musi dziwić. Dotyczy ona bowiem już nie tylko pojedynczych błędów w samej realizacji tegorocznej odśrody Dni w Lizbonie, ale samej idei zgromadzenia pod szyldem wiary w Chrystusa półtoramilionowej rzeszy młodych ludzi w jednym miejscu. Pogardliwe stwierdzenia, że jest to jedynie rodzaj płytkiego eventu, katolickiego Woodstocku, gdzie elementy wiary są tylko nieistotnym tłem, a

sednem jest emocjonalne doświadczenie bycia częścią hłaśliwej i rozedrganej masy, są po prostu nieprawdziwe i dlatego także niesprawiedliwe. Nawet jeśli element emocjonalnego przeżycia wybija się tu na pierwszy plan (nie bez udziału przekazów medialnych!), to taka jest po prostu wiara młodego człowieka. Trudno wymagać, by osoba, która na wszystkich poziomach swojej egzystencji znajduje się jeszcze w procesie dorastania i dojrzewania, była karmiona wyczelowaną teologią i miała liturgiczne wyrobienie, które nabywa się (i to wcale nie jest reguła!) dopiero po wielu latach. Katechezy, spotkania ewangelizacyjne i modlitewne, a przede wszystkim wspólne adoracje w ciszy, jakie miały miejsce w Lizbonie, nie pozwalają po prostu na powierzchowną krytykę.

Warto w tym kontekście przywołać postać ks. Franciszka Blachnickiego i jego projekt rekolekcji oazowych o charakterze właśnie przeżyciowym, które miały stać się doświadczeniem przebudzenia w wierze. Bez tego kroku młodemu człowiekowi trudno byłoby wejść w żywą relację z Chrystusem i w liturgię Kościoła. Oczywiście, mając świadomość znaczenia tego pierwszego kroku, ks. Blachnicki wielokrotnie podkreślał, że wiara musi dojrzewać, co nie oznaczało pozbycia się czy zmarginalizowania elementu emocjonalnego, ale stanowiło przestrożę przed opieraniem swojej relacji z Bogiem wyłącznie na nim. Postać sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego jest tu o tyle znacząca, że sam pomysł Światowych Dni Młodzieży był – jak powszechnie wiadomo – rezultatem przeżyć, których biskup a później kardynał Karol Wojtyła (i ostatecznie papież Jan Paweł II) doświadczył na dniach wspólnoty Ruchu Światło-Życie. Podobnie jak obecnie na Światowych Dniach Młodzieży, tak i wtedy na oazach rekolekcyjnych i dniach wspólnoty rodziła się i kształtowała wiara wielu młodych ludzi. To że nie wszyscy, a nawet nie większość z ich uczestników zdołała rozwinąć i zachować ją w dorosłym życiu, nie świadczy przeciwko takiej właśnie drodze docierania do młodych serc. Krytyków Światowych Dni Młodzieży można zapytać, jak sobie oni wyobrażają współczesny model duszpasterstwa młodzieży, której świadomość ukształtowana jest w znacznej części przez media społecznościowe i rzeczywistość wirtualną?

Oczywiście, należy także przyznać rację krytykom tam, gdzie faktycznie ją mają. Zupełnym brakiem wyczucia liturgicznego i podstawowego szacunku dla Najświętszego Sakramentu było niewątpliwie przechowywanie konsekrowanych postaci w czasie wielkich Eucharystii tegorocznego spotkania w Lizbonie w pojemnikach

przypominających produkty Tupperware i rozdzielanie Komunii św. ze zwyczajnych białych misek. Skoro dało się zaspokoić wszystkie inne potrzeby tak wielkiej rzeszy pielgrzymów, to nie ulega wątpliwości, że brak staranności w zakresie przechowywania konsekrowanych postaci i udzielania Komunii św. trzeba uznać za poważne niedopatrzenie ze strony organizatorów.

Trzeba także uznać krytykę dotyczącą pewnych elementów tematyki tegorocznych Światowych Dni Młodzieży, na co zwracano uwagę jeszcze na długo przed przyjazdem młodzieży do Lizbony. Chodzi o oficjalne zasygnalizowanie przez organizatorów związku między Światowymi Dniami Młodzieży a tzw. *Agendą na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030*. Ta ostatnia jest proklamowanym przez Organizację Narodów Zjednoczonych programem zmian społecznych na poziomie globalnym. Pomysł ten, który koncentrował się początkowo na kwestiach ochrony środowiska, stał się szybko inicjatywą skupiającą aktywistów dążących do globalnej rewolucji. W *Agendzie 2030* jest wiele postulatów nie budzących kontrowersji, a nawet powszechnie uznanych za godne poparcia, chociażby sama idea zrównoważonego rozwoju (*sustainable development*), zgodnie z którą należy w taki sposób zaspokajać obecne potrzeby ludzkości, by nie pozbawić przyszłych pokoleń możliwości godnego życia. Jednak wśród wyznaczonych 169 celów, jakie mają zostać zrealizowane, są także postulaty powszechnego dostępu do aborcji i antykoncepcji, zawarte w haśle zapewnienia tzw. „zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego”, jak też akceptacja genderowej wizji płci zawarta w powiązaniu Agendy 2030 z tzw. Pekińską Platformą Działania.

Należy oczywiście dostrzec i docenić elementy Agendy, które nie tylko nie sprzeciwiają się katolickiej wizji porządku społecznego, ale były podnoszone przez Magisterium Kościoła jeszcze w epoce okołosoborowej. Owocem długoletniej refleksji całego Kościoła była encyklika papieża Benedykta XVI *Caritas in veritate* (2009), a przede wszystkim ekologiczna encyklika papieża Franciszka *Laudato si* (2015). Ta ostatnia jest pełna cytatów z wypowiedzi poprzedników, którzy podkreślali wagę zrównoważonego rozwoju i przestrzegania logiki ekologicznej dla zapewnienia pomyślnej przyszłości całej ludzkości. Wiele z podnoszonych w *Agendzie 2030* postulatów nie jest ani nowa, ani też nie została wymyślona na potrzeby tego projektu. Problemem jest jednak ich powiązanie z aktywnością środowisk, dążących do radykalnej rewolucji społecznej na poziomie globalnym. Stąd też jakąkolwiek sugestię, że Stolica Apostolska popiera cele zawarte w

Agendzie 2030, bez jednoczesnego jasnego wskazania postulatów, które są diametralnie sprzeczne z katolicką etyką życia osobistego i społecznego oraz z wymogami dobra wspólnego, należy uznać za poważny błąd, nawet jeśli w czasie samego spotkania w Lizbonie poparcie to nie zostało wyrażone.

Zamiast tego należałoby wskazać na katolicką wizję problematyki współpracy międzynarodowej na rzecz ochrony środowiska i sprawiedliwości społecznej. Tym, co charakteryzuje spojrzenie Magisterium Kościoła jest idea tzw. ekologii integralnej. Mimo podobieństw, różni się ona od promowanej przez ONZ agendy w kwestiach zasadniczych, a nie tylko drugorzędnych. Dotyczy bowiem – obok uzasadnionej troski o środowisko – także działania na rzecz ubogich oraz szacunek dla życia każdej ludzkiej istoty. W swojej encyklice *Laudato si* papież Franciszek zawarł to w słowach: „Jeśli nie uznaje się w samej rzeczywistości znaczenia człowieka ubogiego, ludzkiego embrionu, osoby niepełnosprawnej – by podać tylko kilka przykładów – trudno będzie usłyszeć wołanie samej przyrody” (nr 117).

Wrzesień 2023

Czego uczą nas błogostawieni Ulmowie?

Beatyfikacja rodziny Ulmów, która odbyła się 10 września 2023 r. w ich rodzinnej Markowej koło Łańcuta, była pod wieloma względami uroczystością wyjątkową. Pierwszy raz w historii Kościoła do chwały ołtarzy zostają podniesieni nie tylko małżonkowie, ale wszyscy członkowie jednej rodziny: rodzice i wszystkie ich dzieci. Ponieśli oni śmierć z rąk niemieckich oprawców w odwecie za ukrywanie Żydów w swoim domu. Jak każda beatyfikacja, również i ta jest nie tylko wyrazem uznania dla cnót osób wynoszonych na ołtarze, ale niesie ze sobą ważne przesłanie dla współczesnych. Nie jest przypadkiem, że heroiczna postawa Ulmów została dostrzeżona i uznana właśnie teraz, w niemal osiemdziesiąt lat po ich męczeńskiej śmierci.

Pierwsza lekcja, jakiej udzielają nam nowi błogostawieni, dotyczy samego małżeństwa i rodziny. Ich beatyfikacja została poprzedzona pieczołowitym badaniem nie tylko okoliczności ich śmierci, ale także sylwetek samych błogostawionych, na ile

pozwalają na to źródła. Z oczywistych względów najwięcej danych zachowało się o ojcu rodziny – Józefie Ulmie. O jego wielorakich zainteresowaniach świadczy nie tylko fakt, że zajmował się hodowlą jedwabników i pszczelarstwem, ale także to, że jako pierwszy w swojej wsi zastosował wiatrak do pozyskania energii elektrycznej dla oświetlenia domu i sam zbudował aparat fotograficzny. Jako pasjonat fotografii pozostawił po sobie wiele zdjęć swojej żony i dzieci. Przebija z nich radość płynąca z wzajemnej miłości i wspólnego budowania domu rozumianego nie tylko w sensie dostównym, ale także jako duchowego gniazda. Heroiczna postawa Józefa i Wiktorii Ulmów wyrosła z prostego, wiejskiego życia, z codziennej troski o najbliższych, ale także z głębokiej katolickiej pobożności oraz z pielęgnowanej małżeńskiej więzi. Jedynie w ten sposób mogła kształtować się postawa, dzięki której byli oni ostatecznie w stanie oddać życie za bliźnich.

Nie oznacza to jednak – i to jest druga lekcja – zamknięcia się w ciasnym kręgu swoich najbliższych. Małżeństwo Ulmów od początku nie było skupione jedynie na sobie i swojej prywatnej pomyślności. Józef Ulma był społecznikiem aktywnie działającym na rzecz lokalnej społeczności. Już w swoich młodych latach należał do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży i Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”. Dla wiejskiej społeczności, w której żył, organizował kursy dokształcające dotyczące uprawy i hodowli, a w swoim domu zorganizował wiejską bibliotekę. Właśnie to otwarcie na innych, przy całej sile więzi małżeńskiej i rodzinnej, kazało Ulmom okazać pomoc tym, którzy w czasie okupacji hitlerowskiej zostali skazani przez okupantów na totalne wymazanie z powierzchni ziemi. Ulmowie ukrywali w swoim domu przez prawie dwa lata dwie żydowskie rodziny (osiem osób), a dla dalszych czterech osób narodowości żydowskiej Józef Ulma wybudował ziemiankę w pobliskim jarze. Mimo tego, że za pomoc Żydom groziła Polakom kara śmierci, Ulmowie nie wahali się zaryzykować życiem własnym i swoich dzieci, by ocalić skazanych na zagładę.

Trzecia lekcja dotyczy sprawców tej strasznej zbrodni. Chodzi przy tym nie tylko o żandarmów, którzy z zimną krwią zastrzelili ojca i ciężarną matkę rodziny na oczach ich dzieci, a później także szóstkę małych dzieci. Chodzi także o denuncjatorów i współwykonawców. Jak wykazało śledztwo, Ulmów i ukrywających się wśród nich Żydów wydał Włodzimierz Leś, członek tzw. „granatowej policji”, czyli oddziałów policyjnych na terenie Generalnej Guberni złożonych z członków lokalnych społeczności i podporządkowanych władzom okupacyjnym. Zdrajca, który wcześniej już zagrabił

majątek jednej z ukrywających się u Ulmów żydowskich rodzin, miał ich wydać po to, by ostatecznie pozbyć się właścicieli. Kiedy się tego dowiadujemy, zadajemy zazwyczaj retoryczne pytanie: Jak ktoś może być tak okrutny wobec ludzi, których znał? Chociaż w każdym ludzkim sercu drzemie zarzewie zła, to jednak zazwyczaj jest tak, że to właśnie chwila próby ujawnia albo cnoty cierpliwie praktykowane całe życie, albo też niecnoty skrywane pod pozorem społecznej poprawności i kalkulacji. Na tle bohaterstwa Ulmów tym bardziej odrażająca jest postawa ich katów.

I wreszcie czwarta lekcja – bardzo specyficznie związana z procesem beatyfikacji bohaterskiej rodziny. Wszyscy członkowie rodziny Ulmów: dwoje rodziców i siódemka dzieci zostali uznani za męczenników, a więc tych którzy padli ofiarą nienawiści wobec wiary. Jako męczennika uznano także ostatnie, siódme dziecko Ulmów, które do chwili egzekucji było jeszcze w łonie swojej matki Wiktorii. Według zeznań świadków ekshumacji, w momencie rozstrzelania Wiktorii Ulma miała się rozpocząć akcja porodowa. Siódme dziecko Ulmów pozostało bezimienne. Rodząc się i umierając w momencie śmierci matki, najmłodsze dziecko Ulmów nie mogło przyjąć chrztu. Po ogłoszeniu dekretu beatyfikacyjnego rozgorzała dyskusja, jak interpretować tę decyzję. Chodziło nie tylko o to, że w praktyce Kościoła beatyfikowani i kanonizowani zawsze byli konkretnymi, znanymi z imienia osobami. Przedmiotem dyskusji było przede wszystkim to, że Kościół dotychczas z dużą ostrożnością wypowiadał się na temat losu dzieci zmarłych bez chrztu. W ogłoszonym w 2007 r. dokumencie Międzynarodowej Komisji Teologicznej pt. *Nadzieja zbawienia dla dzieci, które umierają bez chrztu*, stwierdzono, że Kościół nie ma wiedzy na temat ich wiecznego losu, chociaż wyraża mocną nadzieję na ich wieczne zbawienie.

W kontekście beatyfikacji rodziny Ulmów Dykasteria Spraw Kanonizacyjnych wydała notę dotyczącą najmłodszego ich dziecka. Stwierdza się w niej, że dziecko to urodziło się w chwili męczeństwa matki. Zatem zostało ono dołączone do grona dzieci – męczenników. W męczeństwie rodziców otrzymało ono bowiem chrzest krwi. Mimo tych bardzo specyficznych i wyjątkowych okoliczności – a być może właśnie ze względu na nie – jego los może stać się wielkim wsparciem dla matek, które utraciły swoje dzieci poprzez poronienie. Może ono stać się ich błogostawionym patronem.

Laudate Deum

Opublikowana we wspomnienie liturgiczne św. Franciszka, 4 października 2023 r. adhortacja papieża Franciszka *Laudate Deum* jest niewątpliwie niecodziennym dokumentem papieskiego Magisterium. W zamyśle papieża ma ona być swego rodzaju dopowiedzeniem do opublikowanej w 2015 r. encykliki *Laudato si*, która obita się szerokim echem w świecie i która rzeczywiście była ważnym i wartościowym dokumentem. Przedmiotem nowej adhortacji, jak głosi podtytuł papieskiego napomnienia (a taki właśnie charakter ma adhortacja), jest kryzys klimatyczny. Dokumenty tej rangi bywały w przeszłości zazwyczaj kierowane przez papieży do biskupów, zakonników, jakiejś grupy świeckich lub też do wszystkich wiernych. Czasem papieże dodawali formułę „... oraz do wszystkich ludzi dobrej woli”. W najnowszej adhortacji papieża Franciszka ta formuła jest wyłącznym określeniem adresatów. Tym co niepokoi, wręcz bulwersuje papieża, jest brak wiążących decyzji w kwestii ochrony klimatu i zapobieżeniu degradacji Ziemi. Dramatycznie brzmią słowa Franciszka: „[...] goszczący nas świat rozpada się i być może zbliża się do stanu krytycznego” (LD 2).

Franciszkowi chodzi jednak nie o samą ochronę planety, przyrody czy klimatu. Chodzi mu raczej o „globalny problem społeczny, który jest ściśle związany z godnością człowieka” (LD 3). Niekorzystne zmiany klimatyczne niszczą bowiem życie pojedynczych osób, rodzin i całych społeczeństw. Wraz z degradacją środowiska dochodzi do zmian, których skutkiem jest pozbawienie wielu ludzi środków do życia. Zostają oni pozbawieni pracy, zniszczeniu ulega środowisko, w którym żyją, zostają poniekąd zmuszeni do opuszczenia swoich domów, by szukać gdzie indziej miejsca, w którym będą mogli zbudować swoją egzystencję na nowo. Zniszczenie podstaw godnego życia, nierzadko wręcz brak żywności i środków pierwszej potrzeby, to jedno z głównych źródeł niekontrolowanej migracji. Te niekorzystne zjawiska dotyczą szczególnie najuboższych, a na ich los papież Franciszek jest szczególnie wyczulony.

Niejako w ich imieniu papież zwraca się z żarliwym apelem do zamożnych, szczególnie do przywódców i decydentów w sferze gospodarczej, o to, by nie zamykali

oczu ma tę sytuację i natychmiast zajęli się przebudową struktur gospodarczych w ten sposób, by nieujarzmiona chciwość i pragnienie zysku nie pogłębiały tego kryzysu i by degradacja środowiska nie osiągnęła stanu, z którego nie będzie już powrotu. Kryzys klimatyczny jest problemem globalnym, dlatego też globalny musi być też zasięg środków zaradczych. W tym kontekście Franciszek domaga się wiążących, tzn. nawet obwarowanych sankcjami postanowień i wytycznych, które zobowiązywałyby kraje do podejmowania określonych kroków zmierzających do powstrzymania procesów degradacji środowiska. Papież wspomina dosyć enigmatycznie o „globalnej władzy”, która miałaby podjąć takie działania. Zaznacza przy tym, że chodzi mu nie o pojedynczych decydentów, ale raczej o gremia, które należałoby wyposażać w odpowiednie prerogatywy. Franciszek podkreśla tu jednak, że te decyzje mają uwzględniać zamożność i rzeczywiste możliwości poszczególnych krajów, by nie powiększały one i tak już dramatycznych nierówności w rozwoju między krajami zamożnymi (które też w największym stopniu przyczyniają się do klimatycznego kolapsu) a krajami ubogimi, starającymi się rozwijać gospodarczo i społecznie. Jednak największym problemem nie jest jedynie brak woli podjęcia globalnie wiążących decyzji. Jest nim raczej paradygmat technokratyczny i charakterystyczna dla niego żądza człowieka do osiągnięcia władzy nad ziemią, pozbawionej jakiegokolwiek miary etycznej, kulturowej i duchowej, która byłaby zdolna trzymać w ryzach ludzkie zapędy do panowania. „Wszyscy musimy przemyśleć kwestię ludzkiej władzy, jej znaczenia i granic” (LD 28) – podkreśla Franciszek.

W tym momencie warto spojrzeć także na argumenty krytyków tego dokumentu. Nie sposób nie dostrzec bardzo stanowczego tonu, niemalże zniecierpliwienia, z którym papież domaga się podjęcia pilnych działań w celu zapobieżenia ocieplaniu się klimatu i dewastacji planety. Krytycy dokumentu pytają, czy dane naukowe jako takie, którymi naszpikowana jest adhortacja, mogą być przedmiotem papieskiego nauczania w dokumencie magisterialnym stosunkowo wysokiej rangi? Czy opowiadając się tak zdecydowanie po jednej stronie sporu ekologicznego papież nie naraża się na to, że jego apel zostanie wykorzystany przez środowiska, które z ochrony planety i klimatu uczyniły nową formę panteistycznej religii? Krytycy pytają dalej, czy ocieplenie klimatu i inne problemy ekologiczne słusznie jest obecnie rzeczywiście najważniejszym problemem głowy Kościoła? Jak rozumieć zdecydowanie, z jakim papież opowiada się za tezami

bijących na alarm środowisk ekologicznych w kontekście jednoczesnego braku jego jednoznacznych i klarownych odpowiedzi (np. w odpowiedziach na *Dubia* zgłoszone niedawno przez pięciu kardynałów) na palące problemy pastoralne i doktrynalne Kościoła, dotyczące natury kapłaństwa, sprawowanie sakramentów, szczególnie w tzw. „nieregularnych” sytuacjach i ciągłości nauczania Kościoła?

By nie uchybić sprawiedliwości, trzeba przypomnieć, że papież Franciszek nie jest pierwszym papieżem, który zabiera zdecydowany głos w konkretnych kwestiach społeczno-politycznych. Czynili to także jego poprzednicy. Wystarczy wspomnieć opublikowaną po niemiecku (co w tamtych czasach było zupełnie niecodzienne!) encyklikę papieża Piusa XI *Mit brennender Sorge* [Z palącą troską], w której – choć dotyczyła ona sytuacji Kościoła w nazistowskich Niemczech – ówczesny papież zdecydowanie potępił faszyzm wraz z jego quasi-religijnym patosem i totalitarnymi metodami. Być może więc papież Franciszek widzi w kryzysie ekologicznym zagrożenie najwyższej rangi i dlatego wypowiada się z takim naciskiem i stanowczością.

Encyklikę kończy zdanie, które kiedyś z pewnością będzie cytowane jako jedna z kluczowych wypowiedzi całego Franciszkiego pontyfikatu: „Człowiek, który chce zastąpić Boga, staje się najgorszym zagrożeniem dla samego siebie”. Już choćby dla tego zdania warto sięgnąć po ten papieski dokument.

Listopad 2023

Kogo wolno błogosławić?

Na tak postawione pytanie najbardziej ogólna odpowiedź może być tylko jedna: błogosławić nie tylko wolno, ale wręcz należy każdego człowieka. Św. Paweł nie ma wątpliwości, że właśnie tak należy odnosić się do bliźnich, a nawet do wrogów wiary i bez wahania nalega: „Błogosławcie tych, którzy was prześladują. Błogosławcie, a nie złorzeczcie” (Rz 12, 14). Tak rozumiane błogosławieństwo jest tu postawą odwrotną do przeklinania prześladowców i życzenia im czegoś najgorszego. Jest to po prostu konkretny wyraz miłości bliźniego, która polega na tym, aby pragnąć dobra dla bliźniego, nawet tego, którego poglądów nie podzielam i którego postępowania nie popieram.

Chodzi tu zatem o zasadniczą postawę chrześcijan. Wydaje się, że ludzie wierzący zawsze to rozumieli i praktykowali, co widać np. w zwyczaju błogosławienia dzieci przez matki przez naczynianie ich czoła znakiem krzyża.

Od tego zwyczajnego gestu należy odróżnić błogosławieństwo kapłańskie, w ramach którego kapłan działa mocą swojego urzędu. Chodzi o tzw. sakramentalia, czyli obrzędy i znaki nie będące sakramentami, ale przygotowujące do przyjęcia łaski sakramentalnej i uświęcające różne okoliczności życia. Błogosławienie osób nie jest wtedy jedynie wyrazem miłości bliźniego (choć zawsze *również* tym powinno być!), ale jest wyrazem wiary Kościoła. Jest publicznym znakiem, który stanowi coś w rodzaju katechezy na temat tego, w co Kościół wierzy i jakie praktyczne (moralne) konsekwencje z tej wiary wynikają. Stara zasada dotycząca także tego typu celebracji brzmi: „Lex orandi – lex credendi – lex vivendi”. Mówi ona o nierozzerwalnym związku między tym, jak się Kościół modli, a tym, jak wierzy i jakie powinności z tego wynikają.

Pytanie o błogosławieństwo nabrało nowej aktualności w związku ze zgłaszanymi (a w niektórych Kościołach partykularnych nawet już praktykowanymi!) propozycjami błogosławienia par homoseksualnych. Jedno z *Dubiów*, czyli wątpliwości, zgłoszonych w lipcu 2023 r. papieżowi Franciszkowi przez pięciu kardynałów, dotyczyło właśnie tej kwestii. Kardynałowie pytają, czy taka praktyka byłaby zgodna z Objawieniem Bożym i nauczaniem Magisterium Kościoła.

W swojej odpowiedzi na *Dubia* pięciu kardynałów papież Franciszek przypomina najpierw naukę Kościoła o różnicy pomiędzy małżeństwem między mężczyzną i kobietą, a innymi formami związków, która to nauka pozostaje w mocy. Już w swojej wydanej w 2016 r. adhortacji *Amoris laetitia* papież stwierdził, że „nie istnieje żadna podstawa do porównywania czy zakładania analogii, nawet dalekiej, między związkami homoseksualnymi a planem Bożym dotyczącym małżeństwa i rodziny” (AL 251). Mimo tego papież sugeruje, by nie poprzestawać na obronie doktryny, ale w imię pasterskiej miłości, życzliwości, cierpliwości, zrozumienia, czułości i zachęty poszukiwać dróg wyjścia naprzeciw oczekiwaniom wiernych. Jak powiada, „roztropność duszpasterska musi właściwie rozeznaczyć, czy istnieją formy błogosławieństwa, o które prosi jedna lub więcej osób, które nie przekazują błędnej koncepcji małżeństwa. Kiedy bowiem prosi się o błogosławieństwo, wyraża się prośbę o pomoc do Boga, prośbę by móc żyć lepiej, zaufanie do Ojca, który może pomóc nam lepiej żyć”.

Jak się wydaje, papież ma nadzieję, że pojedyncze inicjatywy tego typu (a zaznacza w swojej odpowiedzi, że nie powinny one przybierać formy oficjalnych regulacji pastoralnych wydawanych przez biskupów czy też lokalne konferencje episkopatów), pozwolą zachować nienaruszoną naukę Kościoła przy jednoczesnej duszpasterskiej życzliwości. Czytając odpowiedź papieża Franciszka nie sposób nie wspomnieć, że całkiem niedawno, bo w 2021 r., ówczesna Kongregacja Nauki Wiary, za aprobatą tegoż papieża Franciszka, opublikowała *Responsum ad dubium odnośnie udzielania błogosławieństw związkom osób tej samej płci*. Odpowiedź na pytanie o dopuszczalność błogosławienia par homoseksualnych była wtedy jednoznacznie negatywna, gdyż warunkiem takiego błogosławieństwa, jak stwierdzono, jest, „aby to, co jest błogosławione, było obiektywnie i pozytywnie ukierunkowane na otrzymanie i wyrażenie łaski, w funkcji planów Boga wpisanych w stworzenie i w pełni objawionych przez Chrystusa Pana. Dlatego tylko te rzeczywistości, które same w sobie są skierowane na słuźenie tym planom, są zgodne z istotą błogosławieństwa udzielanego przez Kościół”. Zgodnie z nauką Kościoła, która nigdy nie została odwołana czy zmieniona, pozamałżeńska aktywność seksualna, także aktywność homoseksualna, jest grzechem. Dlatego błogosławienie takich zachowań byłoby sprzeczne z tym, w co Kościół wierzy i jak żyje. Niezrozumiałe byłoby, gdyby chciało się czytać odpowiedź papieża na *Dubia* pięciu kardynałów bez uwzględnienia tego wydanego za papieską aprobatą przez Kongregację Nauki Wiary przed niespełna dwoma laty dokumentu.

Żaden katolicki kapłan nie ma i nie powinien mieć problemu z błogosławieniem pojedynczej osoby, która wprawdzie nie spełnia jeszcze warunków pełnego pojednania z Bogiem i Kościołem, która jednak znajduje się na drodze nawrócenia, ma dobrą wolę i zbliża się do przyjęcia Bożej łaski. Tak postępuje każdy kapłan w sakramencie pokuty wobec pojedynczej osoby, której w danym momencie nie może jeszcze udzielić rozgrzeszenia. Trudno sobie jednak wyobrazić oficjalne, publiczne błogosławienia związków, które jeszcze nie są, albo też nigdy się nie staną (jak to jest w przypadku par homoseksualnych) sakramentalnym małżeństwem. Doświadczenia związane z tego typu eksperymentami duszpasterskimi z Kościołów zachodnich pokazują, że ostatecznie drugorzędną kwestią staje się tu życzliwość celebransów i ich zachęta do nawrócenia, za to ceremonia błogosławienia staje się zawsze wydarzeniem medialnym, interpretowanym jako publiczna deklaracja zgody Kościoła na związki tego typu, a więc

faktycznie jako deklaracja zmiany nauczania Kościoła w tej materii. To właśnie rozeznanie duszpasterskie, o które wielokrotnie zabiega papież, każe wykluczyć tego rodzaju ceremonie.

Grudzień 2023

Potrójne przychodzenie Pana

Popularne określenie adwentu jako czasu oczekiwania na przyjście Pana każe zastanowić się nad różnymi wymiarami tego przyjścia. Zazwyczaj w adwencie mówi się o podwójnym przyjściu Chrystusa. Pierwsze dokonało się w historycznej przeszłości, gdy Jednorodzony Syn Boży wszedł w ludzką historię w konkretnym miejscu i czasie, by odkupić grzeszną ludzkość. Drugie przyjście, które w teologii jest określane jako paruzja, nastąpi u kresu historii, a więc będzie się wiązało z końcem zanurzonego w przestrzeni i czasie świata, gdy Chrystus przyjdzie z mocą, by sądzić żywych i umarłych. Jednak jeden z najwybitniejszych teologów średniowiecza i doktor Kościoła, św. Bernard z Clairvaux (1090-1153), w kazaniu adwentowym mówi także o trzecim przyjściu Chrystusa. Jak powiada, w odróżnieniu od pierwszego, które dokonało się w ciele i słabości oraz ostatecznego, które nastąpi w chwale i majestacie, to trzecie, środkowe, które jest niejako drogą od pierwszego do ostatniego, dokonuje się w duchu i mocy i jest ukryte. Dotyczy ono przychodzenia Pana do każdego ludzkiego serca.

Ten Bernardowy schemat nie tylko uświadamia nam sens adwentowego czasu oczekiwania, ale staje się jednocześnie krótkim opisem chrześcijańskiego sposobu życia. W pewnym sensie chrześcijanin *żyje przeszłością*. Jednak nie jest to ani jakieś użalanie się nad dawnymi grzechami i życiowymi porażkami, których nie da się już cofnąć. Nie jest to też tęskne i napętnione poczuciem straty celebrowanie „starych dobrych czasów”, jakby to, co czyni życie naprawdę wartościowym i pięknym, już bezpowrotnie przeminęło. Chrześcijanin sięga do przeszłości, pamiętając, że dzięki wcieleniu Syna Bożego, Jego krzyżowej śmierci i zmartwychwstaniu dokonało się ostateczne zwycięstwo nad szatanem, grzechem i śmiercią, które na zawsze pozostanie źródłem nadziei. Osoba Jezusa Chrystusa nie jest jedynie postacią legendarną, swego

rodzaju archetypem człowieczeństwa i uczciwego życia, ale postacią historyczną, którą można umiejscowić w miejscu i czasie. W ten sposób pamięć o centralnym wydarzeniu z historycznej przeszłości stanowi podstawę chrześcijańskiej tożsamości i źródło nadziei, która nie jest jedynie powierzchownym optymizmem.

Chrześcijanin żyje jednak także *przyszłością*, chociaż również w tym wymiarze musi unikać podwójnej skrajności. Życie przyszłością nie może polegać na troszczeniu się na zapas o swoją egzystencję i los innych, o to, co stanie się ze społeczeństwem, światem i Kościołem. Przed taką zbędną troską wielokrotnie przestrzegał Jezus. Jest ona bezpłodna, gdyż przyszłość będzie zapewne inna, niż człowiek sobie wyobraża. Życie przyszłością nie może też polegać na marzycielstwie, na snuciu wyobrażeń o przyszłej potędze, o jakimś świetlanym, utopijnym życiu na ziemi, które dopiero ma nadejść dzięki ludzkim zabiegom i wysiłkom. Obydwie te postawy prowadzą do marnowania duchowych sił. Zamiast tego chrześcijanin patrzy z nadzieją na zapowiedź powtórnego przyjścia Chrystusa i na Jego sąd. Paradoksalnie dla człowieka wierzącego perspektywa ostatecznego sądu nad światem nie wiąże się z lękiem, gdyż sędzią, który ma nadejść jest Ten, który oddał życie z miłości do ludzi. Sąd oznaczać będzie odkrycie pełnej prawdy o Bogu, świecie i ludzkim życiu. Wtedy się też ukaże pełny sens codziennych wysiłków i dobrego, uczciwego życia.

Jednak zarówno to pierwsze, jak i to ostatnie przyjście Chrystusa mogłyby pozostać dla człowieka bezpłodne, jeżeli nie nastąpiłoby to środkowe przyjście. Przyjście to – sięgając po pewien antropomorficzny obraz – to ten ostatni krok Pana przez próg człowieczego serca. Chociaż w adwentowych czytaniach liturgicznych pojawiają się teksty proroka Izajasza, napełnione tęsknotą za Bogiem i żarliwą prośbą, by wreszcie rozdarł niebiosy i zstąpił, to jednak Kościół czyta je w kluczu chrystologicznym, tzn. w świetle Tajemnicy Wcielenia. Boga nie trzeba przekonywać, by wreszcie zstąpił, bo On to już uczynił. Wcielenie Syna Bożego w Betlejem oznacza nie tylko Jego zstąpienie na Ziemię, ale przede wszystkim Jego przyjście niejako na próg każdego ludzkiego serca. I właśnie tutaj dokonuje się coś decydującego, co czyni pierwsze przyjście Chrystusa owocnym i pozwala na radosne oczekiwanie na to ostatnie. Dokonuje się, albo i nie. Gdyby chcieć to wyrazić ponownie w antropomorficznym obrazie, trzeba by powiedzieć, że dla Syna Bożego nie było żadnym problemem wejście z wieczności w historię. Prawdziwym problemem jest zrobienie tego ostatniego kroku przez próg ludzkiego serca,

gdyż On nie przychodzi tam, gdzie nie zostanie zaproszony. Bóg jest niezwykle konsekwentny w poszanowaniu wolności, jaką obdarzył każdego człowieka. Trzecie przyjście Pana dokonuje się więc jedynie tam, gdzie ludzie otwierają serce i zapraszają Go do swojego życia.

I chyba właśnie taki jest prawdziwy sens adwentowych postanowień. Popularne określenie adwentu jako czasu tym różniącego od Wielkiego Postu ze względu na to, że ma to być czas *radosnego* oczekiwania, może prowadzić do tego, że sens tego świętego okresu utonie w świetlistych sklepowych dekoracjach, konkursach na najlepszą muzykę świąteczną, czerwonych kubraczkach wszędobylskich supermarketowych Mikołajów i wszelkiego rodzaju słodkich wypiekach. Tymczasem adwent powinien być naznaczony odsunięciem tego zewnętrznego szumu i podjęciem takich postanowień, które nie będą miały na celu jedynie poprawy sylwetki i polepszenia jakości posiłków, ale prawdziwe otwarcie serca na Tego, który czeka u drzwi. Bez tego trzeciego przyjścia Pana Jego pierwsze przyjście zniknie we mgle historii jako niewiele znacząca religijna legenda, a ostatnie przyjście odpłynie w tak daleką przyszłość, że stanie się zupełnie nieistotne dla teraźniejszości.

Ks. Marian Machinek MSF